



DODATEK LITERACKI

DO „DZIENNIKA WILEŃSKIEGO“.

Z poezji świętego Franciszka z Asyżu.

Hymn Słoneczny.

Największy, dobry, wszechmogący Panie,
 Niechaj się święci Twoje królowanie!
 Wielkość i chwała są Twoim udziałem,
 Człowiek Ci służy i duszą i ciałem.

Bądź pochwalony Ty, co władasz światem,
 Żeś nas obdarzył słońcem, naszym bratem,
 Któremu patrząc co dnia w twarz ognistą,
 Wielbimy światłość Twoją wiekiustą.

Dusza niech nasza śpiewa Ci jak ptaszę
 I dzięki czyni, żeś nam siostry nasze
 Gwiazdy zapalił, co błękitną nocą
 Wkoło srebrnego księżycyca migocą.

Święć się Twe imię za naszego brata,
 Który się wiatrem zwie i ogrom świata
 Mierzy, jak goniec, skrzydlatemi kroki,
 Niosąc w ramionach chmury i obłoki.

Święć się Twoja wola, żeś nam siostrę wodę
 Dał na pokorną naszych ust ochłodę
 I brata ogień, co blaskiem nas wieńczy
 Piękny jak radość — jak miłość młodzieńczy.

Niechaj Twa wszechmoc będzie pochwalona,
 I żeś nas wywiódł z matki ziemi łona
 I tchnął w jej piersi życiodajne źródło...
 Za wszystko, Panie, święć się imię Twoje!

Strofa o Siostrze Śmierci.

Witaj mi, witaj, siostrze, śmierci biała,
 Co wyprowadzasz mnie z niewoli ciała
 I nad pielgrzymą pochyloną głową
 W ciszy zapalasz światłość Chrystusową.

Żegnajcie bracia! Niech oto gości
 Pośród was radość i dusza miłości...
 Odchodzę ciałem, lecz jako dar wieczny
 Zostanie z wami mój uśmiech słoneczny.

Pieśń o Pani Biedzie.

Umbryjskie pola, pełne słodkiej mięty!
 Radością życia idę uśmiechnięty.

Słuchajcie łąki, gaje rozłożone!
 Panią ja Biedę pojąłem za żonę.

Już nie jest ona opuszczoną wdową,
 Bowiem jej dałem ślubowania słowo.

Odkąd przy żłobie stała w Betlejemie,
 Jest zdobywczynią, co podbija ziemię.

Odkąd ze zbawcą była na Golgocie,
 Jest monarchinią, co przewodzi enocie.

Kiedy Go zółcią i octem pojono,
 Patrzała w Niego twarzą utrapioną.

Przeto, że z Boga chodziła orszakiem,
 Stworzeniem teraz rządzi wielorakiem.

Że życie całe służyła Mu wiernie,
 Krzyż jej udziałem i gwoździe i ciernie.

Że miłująca od nędzy się słania,
 Pan ją w godzinę witał zmatrwychwstania.

I rzekł jej: Pójdiesz, kędy ludzie prości,
 By ich prowadzić do doskonałości.

List do Jakopy Settesoli.

Siostrze Jakopie, pani Settesoli,
 Umierający pisze o swej doli...
 Aby jej łaska Boża była dana,
 W imię pozdrawia ją Chrystusa Pana.

A jako czuje, że śmierć jest w pobliżu,
 Siostrę swą z Rzymu mieć pragnie w Asyżu...
 Niechaj przywiezie z sobą całun biały
 I świece żółte, by przy nim gorzały...

Niechaj z przybyciem ni chwili nie zwleka,
 Bo droga przed nim ogromnie daleka —
 A chce ją ujrzeć, zanim sen go zmorzy,
 Brat jej Franciszek, biedaczyna Boży.

Przekład Jana Pietrzyckiego.

Św. Franciszek z Asyżu.

Dante: „Raj“ XI 76 — 120, przekł. E. Porębowicza.

Między Tupinem, a wodą, co kanie
Ze wzgórz, gdzie pamięć Ubalda jaśnieje,
Stok żynny kloni się po górskiej ścianie.

On to Perugję raz ziębi, raz grzeje
Od strony Porta Sole; w tyłach wzgórza
Gualdo z Nocerą pod uciskiem mdleje.

W miejscu, gdzie stromość z lekka się wydłuża,
Słońce tam wzeszło człowieczego rodu,
Jak owo, co się z Gangesu wynurza.

Kto więc wspominać chce owego grodu,
Nie mówże: Asyż, bo rzekłbyś za mało,
Lecz Wschód, bo słuszna zwać go mianem
Wschodu.

Na niebie jeszcze nie wysoko stało,
Gdy plemię ludzkie z zasług jego enoty
Już pierwszych błogich skutków doznawało.

Bo on chłopięciem, wbrew ojca, w zaloty
Biegł do tej pani, co nie wszystkich nęci,
Podobnie jak śmierć, dla swojej brzydoty.

Przed trybunałem duchownym swe chęci
Zgłosił et coram patre dał jej słowo,
A potem co dnia kochał ją goręcej.

Po pierwszym mężu swoim była wdową
Tysiąc, więcej stu i kilkoma laty,
Aż ją ten oto poślubił na nowo.

Bo nie pomogło, aby zwabić swaty,
To, że w rybaka chacie nie zadrzała
Na głos Cezara straszącego światy.

A taka była wierna i wytrwała,
Że razem z Chrystusem zawisała na krzyżu,
Gdy nawet matka u stóp pozostała.

Lecz byś nie błądził, będąc już w pobliżu
Prawdy, odkryję myśli osłonięte:
To z panią Biedą Franciszek z Asyżu.

Zgoda małżonków, lica uśmiechnięte,
Miłość przedziwna, wzrok pełen pogody
Budziły wkoło zadumania święte.

Pierwszy się rozzuł bieżący na gody
Bernard Czcigodny i jeszcze się wstydzi,
Że śpieszy mało. . . . O dobro bez szkody,

O skarbie wieczny! Więc rozzuł się Idzi,
Rozzuł Sylwester za pierwszym małżonkiem,
Taka im luba małżonka się widzi.

Tak poszedł ojciec i mistrz ze swem gronkiem
Dobranem: z panią i czeladką chętną,
Już opasaną pokornym postronkiem.

Ni mu chmurzyło czoła wstydu piętno,
Choć się urodził synem Bernardona
I choć miał postać oczom nieponętną.

Lecz po królewsku zamiarów dokona,
Odkrywszy trudny plan przed Inocentym
I bierze pierwszą pieczęć i znamiona.

Gdy trzódka rosła w trop za mistrzem
Krocząc, którego żywot nad pojęcie [świętym]
Godzien, że sławią go nad firmamentem,

Papież Honoryusz, na Ducha zakłęcie
Ozdobił chwałą powtórnej korony
Arcypasterza szczytne przedsięwzięcie.

A że był palmy męczeńskiej spragniony
Chrystusa głosić jał i Apostolów,
Przed sułtańskimi nie zadrzawszy trony.

Lecz widząc próżne owoce mozołów,
A lud ów twardym i wierze niezdarnym,
Wrócił brać żniwo z italskich padołów.

Pośród skał, które Tybr okraża z Arnem,
Ostatnią pieczęć od Chrystusa wziętą
Dwa lata nosił na ciele ofiarnem.

Gdy Bóg, który mu taką pracę świętą
Wyznaczył, po tej ziemskiej poniewierce
Przygotowywał mu wieczyste święto,

Na brać swą, mienia słuszne spadkobierce
Zdał opiekuństwo swej małżonki milej,
Kaząc, by wierne jej chowali serce.

Z jej łona zstąpił potem do mogiły;
Gdy dusza do swej wzlatała dzierzawy,
Zwłoki mar innych sobie nie życzyły.

Pomyśl, jakim był drugi sternik nawy
Piotrowej, którą z nim razem prowadzi
Przez dzikie morza do przystani prawej.

To patryarcha nasz; o kim on radzi
I kogo służba i trud nie przestrasza,
Dobry ładunek na swą barkę ładzi.

Jan Kasproicz.

Hymn św. Franciszka z Asyżu.

(Urywek)

Bądź pochwalony, Rozdawco cierpienia!
 Ręceś mi przekłuł i nogi
 i krew mi cieknie z głowy,
 a oto z Krzyża
 zstępuje ku mnie w pochwalonych ogniach
 biały Serafin
 i radość w serce mi leje
 i z duszy śpiewne wytwarza narzędzie,
 ażebym śpiewał i grał,
 ażebym słauił i wielbił
 Rozdawcę bolesnych stygmatów,
 z których się rodzi Wesele
 i Miłość...
 I śpiewam i gram
 do wtóru anielskich Zastępów,
 mogących patrzeć w oblicze
 Twórcy...
 I śpiewam: bądź pochwalony!
 A wy stworzenia Boże, słuchajcie mej pieśni
 i chwalcie razem ze mną Tego, co was kocha.
 Ty, słońce, przedewszystkiem, zestrój swoje
 w hymn płomienisty, [blaski
 albowiem przezeń nam świecisz
 i przezeń siewców rozbudzasz,
 ażeby ziarno siewali
 na sytny chleb Ducha...
 Długom-ci czekał na przedwieczne Słowo,
 jakkolwiek we mnie było i poza mną,
 we wszystkich drzewach i we wszystkich
 [trawach
 we wszystkich jasnościach i wszystkich
 w róży i lilji, [ciemnościach,
 w robaku i płazie,
 w głębiach wody i w górach pustynnych,
 w płaczu nadziei, w ucieście i trwodze.
 Długom-ci czekał, albowiem me plecy
 okrywał jedwab i pasem błyszczącym
 były ściągnięte me biodra
 i drogocenne trzewiki
 chroniły stopy me,
 aby ich piasek nie brudził,
 po którym stąpa — człowiek.
 Długom-ci czekał, o Panie,
 żądny się oprzeć na Twojej światłości,
 albowiem w ręku moim była laska,
 w kosztowny metal okuta,
 a zaś w marzeniach sięgałem po berło,
 by rozkazywać wszystkiemu, co żyje.
 A oto dzisiaj spłynął na mnie źródło
 Łaski,
 iż mogę
 z wyciągniętymi rękoma
 patrzeć w Krzyż
 i z ran rozkosznych przelewać
 krew.
 I widzę twarz Sarafina,
 całą w ognistych rozbłyskach,
 i słucham wiewu, któryś dał nam Panie,
 abyśmy przezeń rozumieli technienie
 Twojej Istoty!...
 I słucham szepców, któreś dał nam Panie,

W eukaliptowych koronach,
 w cichych gałęziach oliwek i pini, j,
 byśmy w nich mieli oddźwięk tajemnicy
 Twojego Bytu!
 I słucham dzwonu, jak dzwoni
 w sferach powietrznych, pełnych Twego Ducha,
 wzywając ludzi i głązy
 i ryby w rzece i ptactwo,
 nim jeszcze zaśnie po gniazdach,
 i mehy na dachach i zielsko w szczelinach
 zwałonych bramie i schodów,
 i te różowe cyprysy
 na świętem miejscu umarłych,
 i kości, złożone w ziemi:
 aby ci bracia moi i me siostry
 zmówili pacierz wieczorny,
 aby na jego rozbrzmieniach,
 na śpiewnych rozlewach dzwonu,
 płynęli duchem ku Tobie...
 Raduj się, serce weselem
 twojego Zbawcy!
 Dzwon, szumiej i szep taj poszumem,
 szep tem i dźwiękiem okręgów,
 boś oto częścią ich serca,
 bo oto przyszło ku tobie
 Oeknienie!
 O miasto, z zimnych zbudowane głązów,
 na których zorza przygasa!
 Ciepło jest w tobie i ogień,
 albowiem w twojem ubóstwie
 kryje się Miłość!...
 O moi bracia i siostry
 z jarzmem na plecach,
 z ciężarem konwi na głowie!
 Już ja w rzemiennem przepasaniu swoim
 nie mam-ci złota ni srebra,
 już ja rzuciłem laski i trzewiki
 i śpieszę ku wam ubogi,
 tylko bogaty tem Słowem,
 co mnie przy słońca zachodzie,
 przy dźwięku dzwonów i przy szepcie traw
 wyrwało z obierzy Zła.
 Już ja się nie gnę przed Blichtrzem i Próznią,
 lecz idę ku wam, aby jarzmo wasze
 wziąć na swe barki
 i, konwie wasze dźwigając na głowie,
 nierozzerwalny zawrzeć ślub
 z wyzwalającą Miłością!
 Zbliżam się ku wam, pragnąc razem z wami
 i razem z wszystkiem rodzeństwem,
 co kwitnie, pełza i świeci i gaśnie,
 mężnie anielską osłepiwszy bronią
 Centaura Pychy,
 zaśpiewać pieśń tę jedyną:
 Bądź pozdrowione Cierpienie,
 gdyż z ciebie rodzi się Miłość!

O bracie mój, księżycu! o siostry me, gwiazdy!
 Świecicie nad mrokami mojej siostry ziemi,
 co, mając Jutro przed sobą,
 nie umie zasnąć w łasce i spokoju,

O bracie mój, księżycu, o siostry me, gwiazdy!
O róże, które dłonie zrywają nieczyste —
chwalcie wraz ze mną i z wszystkim

[stworzeniem

z mym drogim bratem ogniem
i z siostrą moją wodą,
z wszystkim, co rośnie i pełza i kwitnie,

z wszystkim co szumi i szepce i dźwięczy,
z wszystkim, co płonie i gaśnie —
chwalcie, chwalcie, chwalcie
sprawiedliwego Sędzie,
który odwlece dzień Sądu
przez Miłość...

Nowe wydanie monografii o Mickiewiczu.

Monografia prof. J. Kallenbacha ukazała się w 4 wydaniu*). Jest to wydarzenie na tyle znamienne, że należy mu się osobna uwaga. Wspaniałe dzieło to powstało w Szwajcarii, na obczyźnie, w atmosferze tęsknoty za Polską; trzeba o tem pamiętać, by należycie zrozumieć pewne charakterystyczne cechy jego stylu, wewnętrznego rytmu: jest to owoc entuzjazmu dla człowieka — Polski, owiany atmosferą nostalgii za ojczyzną. Stąd płynie tak osobliwe uczucie zabarwienie monografii naukowej.

Wydane po raz pierwszy w roku 1897, w przeddzień setnej rocznicy urodzin Mickiewicza, rozchodziło się w handlu przez lat kilkanaście; wydanie drugie pochodzi dopiero z roku 1918. Powolność wyczerpywania nakładu nie tłumaczy się tem, że naówczas dostępne było jeszcze w obiegu księgarskim analogiczne dzieło Chmielewskiego, bo odrazu widać było, że monografia ta pracowita i sumienna, ale sucha, usunie się w cień wobec nowej zjawionej. Nie tłumacza również wszystkiego owoczesne warunki polityczne. Powód główny leżał bodajże w pewnym zobojętnieniu pokolenia dla Mickiewicza, jego poezji, a przede wszystkim dla królewskiego jego ducha.

Okres ten zostawiliśmy daleko poza sobą. Rzecz charakterystyczna, rosnącego kultu Mickiewicza wojna nie przytłumiła, owszem wzmożła. Książka prof. Kallenbacha jest tu wymownym wskaźnikiem. Wydanie drugie wyczerpało się w ciągu czterech lat, trzeciego starczyło już tylko na trzy. Będąc znakiem widomym, jest dzieło to zarazem najznaczniejszym współczynnikiem kultu, szerzy w Polsce znajomość i umiłowanie Mickiewicza, jak żadne z innych opracowań.

Wydanie czwarte monografii uległo pewnym zmianom; autor jej tu i ówdzie nieco przyciął tekstu, głównie jednak dodawał. Nie spuszcza on z oka przedmiotu swego ukochania, czujnie uwzględnia wszystkie cudze badania nad Mickiewiczem, a własnych zaś nie zaniedbał nigdy. Z tych dwóch źródeł płyną liczne uzupełnienia. Jak każde z poprzednich wydań monografii, tak i to doprowadza wywody do współczesnego stanu badań, badania te samo w sobie naprzód posuwa. Tak, na przykład, ze znaczniejszych uzupełnień wskazać należy ustęp o prelekcjach lozańskich, rozszerzony na podstawie rękopiśmiennej pracy p. Kowalskiego. Z własnych zaś poszukiwań autora pochodzą licz-

ne Dodatki: fragmenty pism Mickiewicza, lub wzmianki współczesne o nim, zebrane z rękopisów różnych zbiorów archiwalnych. Dział ten wzbogacił się w niniejszem wydaniu o kilka pozycji interesujących, naprz. dłuższy frazes z *Edypa w Kolonie* zapisany przez poetę w notatniku z pamięci w lat 10 przeszło po studjach greckich w uniwersytecie i t. p. Wkradły się tu pewne nieścisłości: list poety do L. Stypulkowskiego (podobnie pierwsza redakcja wiersza *Exegi monumentum*) jest znany, u Reitera mieści się on pod błędną datą 20.IV.1840 r.; notatka o sejmie (też znana) nie pochodzi z roku 1835, ale z marca 1843 r. i dotyczy sprawy Mirskiego i t. p. Ale to drobiazgi.

Ważniejsze zdobycze studjów własnych wciągnął autor w tekst monografii. Trudno je tu wyszczególniać, jest ich dużo; dla przykładu tylko wspomnieć można o jednej, pierwszej z brzegu. Od szeregu lat ciągnie się w literaturze mickiewiczowskiej kwestja sporna o datę wiersza *Do przyjaciół Moskali*, kwestja niebagatelna, bo zależy od niej ważna sprawa stosunku Mickiewicza do Puszkina i do jego wiersza *Oszczercom Rosji*. Wywołał ją A. Krechowiecki, który opisując ongiś autograf tego utworu, mylnie odczytał znak wodny papieru, domyślał się filigranu rosyjskiego i skłonny był przesunąć datę powstania wiersza na r. 1830. Powstał stąd cały problem. Rozcina go niespodzianie raz na zawsze prof. Kallenbach; zbadawszy autograf na własne oczy. Okazało się, że wiersz pisany jest na tym samym papierze, na ówiartce tego samego arkusza, na którym spisał poeta objaśnienia do drukującego się już tomu z III części *Dziadów*. Wiersz zatem pochodzi z późnego lata 1832 r. i powstał w Paryżu.

Podobnych uzupełnień istotnych przynosi wydanie niniejsze sporo. Nie trzeba dodawać, że autor włącza je w całość, ciemniejsze i uzupełnia rysy niektóre umiejętną ręką artysty, nie psuje niemi konstrukcji dzieła, nie wypacza rysunku portretu, ale tylko uwydatnia coraz lepiej jego wyraz. Nie dziwota: dzieło to jest pieszczonem dzieckiem autora. Nowemu wydaniu monografii życzyć należy, by się rozeszło nie później niż poprzednie. Jest to w dorobku kultury naszej pozycja pierwszorzędną. Nagradzając to dzieło, dała temu wyraz niedawno Polska Akademia umiejętności.

Stanisław Pigoń.

*) *Adam Mickiewicz*, przez J. Kallenbacha. Wydanie czwarte zwiększone. Lwów 1926, wyd. Zakładu im. Ossolińskich, 2 tomy, 18 ilustracji.

O HYMN NARODOWY.

Nie poruszalibyśmy tej kwestji, którą zda się bezapelacyjnie już zdecydowała — praktyka, gdyby nie nowa, sprawie tej poświęcona, broszura X. Ignacego Charszewskiego, którą autor rozesał w ostatnich dniach wszystkim instytucjom, redakcjom, bibliotekom ludowym etc., a która może wprowadzić pewien zamęt w pojęciach, jaką z naszych pieśni narodowych uważać mamy za hymn narodowy.

Autor broszury poddaje krytyce kolejno szereg pieśni narodowych, które pretendowały, lub pretendują do najwyższej godności hymnu narodowego. Z punktu i słusznie odrzuca „kalumniatorską, walkoklasową piosenkę Gustawa Ehrenberga z r. 1862 — „Gdy naród do boju“. Taksamo nie może wchodzić w rachubę „Pierwsza Brygada“ zarówno ze względu na kompromitującą a symboliczną tożsamość jej rytmu i melodji z pruskim marszem „Die blauen Husaren“ jak i z powodu skandalicznej strofy, w której woła się pod adresem Narodu:

*Nie trzeba nam od was uznania,
Ni waszych słów, ni waszych łez,
Już skończył się czas kołatania
Do waszych dusz... Jechał was sek!*

Jak łatwo się domyśleć, ostatnie trzy wyrazy z końcówką, nie rytmującą się z odpowiadającą jej końcówką, wiersza drugiego, w praktyce brzmią znacznie soczyściej i rymują się bez zarzutu, a tak jak wyżej, drukuje się tylko gwoli przyzwoitości publicznej.

Rotę Konopnickiej odrzuca autor z powodu jej „tendencji dzielnicowo - jednostronnej i niedostojnego „plucia w twarz“ Polakowi przez Niemca“. Jest w tem sporo słuszności, natomiast niesprawiedliwym i niezrozumiałym jest zarzut uczyniony mazurkowi Dąbrowskiego; autor uważa, że jest on „nazbyt skoczny“.

W końcu ks. Charszewski przechodzi do „Boże, coś Polskę“:

„Nastrój, który stworzył „Boże, coś Polskę“, dzięki Bogu, już zamarł, wskutek tego twór, któremu on dał był życie, należy do przeżytków. Jako pomnikowi spatriotyzowanych złudzeń carofilskich, pora mu już do narodowego pamiętek Kościoła“.

Jak wiadomo, Polska Macierz Szkolna podjęła próbę „zreformowania“ czy „odświeżenia“ hymnu „Boże, coś Polskę“. Na swój „tydzień“ w maju b. r. wydała ona i rozrzuciła po kraju nalepki z Orłem Białym na froncie, a z „zreformowaniem“ „Boże, coś Polskę“ na odwrocie. Zachowano tu pierwsze dwie tylko strofy Felińskiego, a dodano trzy nowe, które ks. Charszewski krytykuje — naszym zdaniem całkiem słusznie.

„Poziom artystyczny tych zwrotek stoi niżej zera... Rymy są zwykłą dziadowszczyzną. „Wszepochętne“ rymuje się z „siermiężne“ — „skruszyło“ z „obdarzyło“ — „powołał“ z „przodował“ — „cudów“ z „ludów“ — „boju“ ze „znoju“.

Pozatem w treści brak ładu i składu, a za to jest geścik demagogiczny. Według Niedofelińskiego, twórcy doróbek, wszepochętne ramię Boże obdarzyło wolnością kraju same tylko „rzesze ludu polskiego“ i to „siermiężno“.

Ani promyczka sensu i piękna nie znajdzie też nikt w strofie ostatniej, będąca nieudolną przeróbką strofy 4 Felińskiego, błagającej Boga o połączenie ludów „pod jedno berło Anioła pokoju“, t. j. Aleksandra I.

*Boże, nasz Ojczy, coś dokonał cudów
Oddalaj od nas krwawe kłęski boju,
Uśmierzaj waśnie wśród wiernych ci ludów,
Daj ukojenie po pracy i znoju.*

Po takiej krytyce ks. Charszewski przychodzi do przekonania, że Polsce potrzeba nowego hymnu, który też on napisał, na nutę „Boże, coś Polskę“, zachowując jednak ze znanej pieśni Felińskiego tylko samą niezrównaną inwokację „Boże, coś Polskę“, reszta wszystko jest nowe. Posłuchajmy:

*Boże coś Polskę wielmożną prawicą
Wyzwolił z jarzma po wiekowej mece,
Niech cudem Twoim ludy się zachwycą,
My Ci pieśń chwały śpiewamy w podzięce,
Żeś nam zapalił smartwychwstania zorze.
Ciebie chwalimy, Wielki Ojczy Boże.*

i t. d. i t. d. i t. d.

Nie będziemy powyższego utworu rozpatrywać z punktu widzenia artystycznego, jedno tylko przyznać musimy autorowi, że posiada on widocznie bardzo dużą dawkę optymizmu, skoro przypuszcza, iż znajdzie się w Polsce bodaj dziesięciu „sprawiedliwych“, którzy zechcą na pamięć „wykuwać“ aż 19 (wyraźnie: dziewiętnaście) strof nowego „Boże, coś Polskę“.

Nie, wielbny księże Dobrodzieju! Hymnu narodowego nie „robi się“, taki hymn może być tylko dziełem natchnienia; rodzi się on jak błyskawica w chmurach, jest dziełem momentu, wielkiego napięcia wielkich, zagadkowych sił. Jak iskra elektryczna przenika miljonowe tłumy; nikt się go na pamięć nie uczy, nikt nie „wykuwa“, a oto śpiewa go Kościół, śpiewa szkoła, wojsko, ulica...

Wielkie wypadki, które dały nam wolność, które stworzyły „cud nad Wisłą“, nie obdarzyły nas nowym hymnem narodowym. Trudno. Nie pośmy się więc nad sztucznym i mozolnym kleczeniem rymów patrijotycznych, zadawalniając się tem, co posiadamy, podobnie jak Francja zadawalnia się swą „Marsyljaną“, jakkolwiek i o niej można powiedzieć, że „nastrój, który stworzył „Marsyljanę“, dzięki Bogu, już zamarł, wskutek czego twór, któremu on dał był życie, należy do przeżytków“.

Pytanie tylko: którą z wymienionych wyżej pieśni narodowych uważać mamy za „hymn narodowy“. Na to musimy odpowiedzieć: w żadnym razie nie „Boże, coś Polskę“, a to ze względu na nawskroś religijny charakter tej pieśni, śpiewanej, jak wiadomo, na nutę „Serdeczna Matko“. Posiadamy niewątpliwie przepiękne hymny kościelne, jak naprz. pieśń nad pieśniami „Święty Boże“, ale wyobraźmy sobie naprz. ucztę galową: sala zalana potokami światła elektrycznego, suto zastawione stoły, dekolty, fraki, ktoś wygłasza toast... skończył... wtem rozbrzmiewa przejmująca i wstrząsająca do głębi melodja „Święty Boże“. Niewątpliwie wszyscy obecni, nie wyłączając cudzoziemców,

którym słowa tej pieśni mogą być nieznanne, odezuli by to jako grubą niewłaściwość, świętokraństwo. *Ne misceantur sacra profanis*. To samo dotyczy tekstu i melodji „Boże, coś Polskę“, którego miejsce jedynie i wyłącznie w kościele.

Lecz Polska, jako Państwo, jako potęga świecka, potrzebuje hymnu narodowego, który może być grany i w sali zebrań, na ulicy, na placu ćwiczeń, na dworcu kolejowym, słowem w każdym wypadku i wszędzie, gdzie przepisuje zwyczaj i etykieta międzynarodowa.

O wyborze takiego hymnu zdecydował już zdrowy instykt narodu: może nim być tylko mazurek Dąbrowskiego. Żadna inna melodia nie jest wyspiawana tak wprost z duszy polskiej, nie odpowiada tak jego naturze, dziańskiej i zamaszystej, jak właśnie „Jeszcze Polska nie zginęła“. Na uroczystościach o charakterze międzynarodowym, gdzie kolejno bywają grywane hymny narodowe wszystkich państw, nasz się bardzo korzystnie wyróżnia i... co najważniejsza, nie potrzebuje on komentarzów, nie trzeba pouczać obcych słuchaczy, że to jest hymn polski, gdyż każdy sam to rozumie, tak bardzo melodia ta jest typową. Co się zaś tyczy czysto artystycznej wartości, to o niej świadczy wymownie ten fakt, iż wielki potentat tonów, Wagner, obrał tę melodię za temat do nieśmiertelnego dzieła swego, poświęconego Polsce. Zarzut zrobiony przez ks. Charszewskiego co do „skoczności“ melodi, jest nieprzekonywujący, jako że hymn narodowy nie jest przecie marszem pogrzebowym, a zresztą naród rycerski nie może kwilić na nutę ślamazarną.

To, cośmy wyżej powiedzieli w obronie Mazurka Dąbrowskiego, nie oznacza jednak wyroku zagłady dla „Boże, coś Polskę“.

Niemcy (przedwojenne) miały kilka hymnów narodowych, oprócz oficjalnego „Den König segne Gott“ — „Deutschland, Deutschland über alles“, „Die Wacht am Rhein“, pozatem jeszcze, każde z państw Rzeszy miało swój, lokalny hymn: „Gott segne Sachsenland“ etc.

Czemuż Polska niema posiadać oprócz czysto świeckiego hymnu „Jeszcze Polska nie zginęła“ drugiego, o charakterze religijno-patriotycznym? Przysłało to tembardziej narodowi naszemu, który zawsze miłość ojczyzny łączył i identyfikował niemal z miłością do Boga, który nam dał tę Ojczyznę. I tu właśnie nie zastąpionym jest „Boże, coś Polskę“, ale na miłość Boga, tylko bez przeróbek czy to „Macierzy Szkolnej“, czy to ks. Charszewskiego. Jedynie właściwym jest tekst oryginalny, historyczny, z nieznaczną lecz niezbędną poprawką

zamiast „Ojczyznę, wolność, racz nam wrócić, Panie!“ — „zachowaj nam, Panie!“.

Jak wiadomo, tylko cztery pierwsze strofy „Boże, coś Polskę“, zostały napisane przez X. Felińskiego, reszta zaś, to późniejsze doróbki, dziś nieaktualne i mogą być śmiało opuszczone, zwłaszcza, że hymn taki nie powinien być zbyt długi, nie powinien nużyć swą monotonią, najgorsze zaś wrażenie robi, gdy część publiczności, nie znając tekstu na pamięć, odpada od ogólnego chóru, aż w końcu ledwo kilka głosów pozostaje.

Cztery strofy Felińskiego wystarczą najzupełniej i te nigdy nie przestarzeją, odpowiadają one wszelkim okolicznościom. Pewną wątpliwość budzi jedynie strofa czwarta:

*Boże najświętszy, przez Twe wielkie cudy
Oddalaj od nas klęski mordu, boju,
Połącz wolności węzłem bratnie ludy
Pod jedno berło Anioła Pokoju.*

Jak wiadomo, Feliński, pisząc wiersz swój w r. 1815 „Aniołem pokoju“ nazywa Aleksandra I. Cóż nas jednak dziś może obchodzić, kogo Feliński miał na myśli, my bierzmy tekst dosłownie i literalnie.

Polska, dziś politycznie zjednoczona, w dalszym ciągu wewnętrznym jest rozdarta na partje, na zwalczające się wzajemnie stronictwa. Znając charakter nasz narodowy, łatwo przewidzieć, że te wewnętrzne niezgody zupełnie nigdy chyba nie ustaną, czemuż więc nie mamy w błagalnej modlitwie prosić Stwórcę, aby nas połączył pod opiekę „anioła pokoju“ bez żadnej przenośni i aluzji osobistej.

Nareszcie co do „Roty“ Konopnickiej, ta również zdobyła sobie obywatelstwo i niema najmniejszej racji rugować jej. Zarzut co do „charakteru dzielnicowego“ jest niesłuszny, gdyż Niemiec był i jest wrogiem odwiecznym nie tylko jednej dzielnicy, ale całego naszego narodu, który w obronie wspólnej sprawy przeciwko wspólnemu wrogowi łączyć się winien bez różnic dzielnicowych, jak praojcowie nasi stali złączeni najświętszymi węzłami jedności i niepodzielności Ojczyzny na polach Grunwaldu.

Co się tyczy istotnie niedostojnego „plucia w twarz“, to ta strofa bez uszczerbku dla całości może być opuszczona.

Tyle w odpowiedzi ks. Charszewskiemu, który, naszym zdaniem, niepotrzebnie i bałamutnie poruszył na nowo sprawę rozstrzygniętą już bezapelacyjnie przez praktykę i to rozstrzygniętą w myśl najpiękniejszych naszych i najdroższych tradycyj.

Jan Obst.

Gość z Nr. 12.

Była godzina 8 rano.

Mieszkańcy hotelu „Pod Słoniem“ jeszcze drzemali, ale na parterze już uwijała się służba, gotując wszystko do śniadania.

Szczególnie numerowy Fryderyk był bardzo ożywiony: leżał przed nim stos ubrań i trzewików, wyczekujących na szczotki. A jednak człowiek ten przerywał od czasu do czasu

czyszczenie, zaspanym wzrokiem bezmyślnie spoglądał na fale rzeki, przepływającej tuż obok hotelu.

Nagle zadzwieczał dzwonek elektryczny.

Gniewnie spojrzął Fryderyk na wyskakujący numer.

— Ależ mu śpieszno mruknął, pod nosem i podreptał na pierwsze piętro.

Tam ukazał się naglący gość w zupełnym neglizżu, dopytując się energicznie o swoją garderobę.

Fryderyk w pierwszej chwili spojrział nań z zakłopotaniem, następnie zastanowił się przez chwilę, potrząsnął swym wielkim łbem i zawrócił mrużąc:

— W tej chwili proszę pana.

Na dole przerzucił wszystkie ubrania i trzewiki, ale garderoby z pod nr. 12 nie było.

— Czego ten warjat właściwie chce?

Przecież niczego nie wywiesił — kłął na głos, szukając. Następnie usiadł, wsparł głowę na rękach i usiłował sobie odtworzyć dzieje minionego wieczora. Przychodziło mu to z wielką trudnością. Przypomniawszy sobie, co prawda, że ten pan przybył dopiero o godzinie 20-tej; tak, pamiętał doskonale, że był ubrany w długie palto i kalosze, ale wszystko co nastąpiło potem, pokryte było nieprzejrzystą mgłą: pił nieco, odczuwał senność, mechanicznie zebrał wszystkie rzeczy z przed drzwi i zaopatrzył w numery...

Dzwonek elektryczny znowu ukazał nr. 12.

I poraz drugi podreptał Fryderyk na górę.

— Tam do diabła, gdzie się podziewają moje rzeczy? Spiesz mi się na pociąg — kłął gość.

Numerowy z zakłopotaniem wzruszył ramionami i odparł:

— Szanowny pan zapewne się myli; pańskich rzeczy niema na dole.

— Zwarjowaliście, czy co?

— O nie, wiem, co mówię!

— Nie miejsce tu na żarty; żądam natychmiast moich rzeczy, bo w przeciwnym razie będzie skandal.

— Ależ szanowny pan raczy wybaczyć, rzeczywiście żadnych rzeczy z pod nr. 12 niema.

— Więc, gdzież się do diabła podziały! Przecież wczoraj wieczorem wywiesiłem.

— Cóż to było?

— Marynarka, spodnie, kamizelka i para niemal nowych trzewików do sznurowania.

Fryderyk znowu wzruszył ramionami i powtórzył:

— Mogę tylko jeszcze raz zapewnić, że niema takich rzeczy.

— Toście je zamienili — obruszył się gość.

— O, przepraszam, to jest wykluczone. Pięć lat już pracuję w tym hotelu, ale jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się zamienić rzeczy!

— No dobrze, gdzież jest cała garderoba?

— Na dole.

— Więc zejść z wami i sprawdzić.

Gość wdział kalosze, owinał się w palto i zeszedł wraz z numerowym ze schodów.

Przetrząsnęli w dwójkę wszystkie rzeczy. Fryderyk miał minę tryumfatora.

— To znaczy, że moje rzeczy zostały skradzione — odezwał się nieznajomy. — Proszę natychmiast zawołać gospodarza i wezwać policję.

I wrócił z powrotem do swego pokoju.

Pocziwy Fryderyk przestraszył się, słysząc o policji. Szybko pobiegł do gospodarza, obudził go i jakając się opowiedział całą historję.

Gospodarz, któremu rzeczywiście zależało na dobrej opinji, niezwłocznie udał się na górę.

Powtórzyła się znana już scena.

— Upraszam usilnie — wołał gość aby natychmiast sprowadzono policję!

— Ależ, szanowny pan znajduje się w renomowanym, uczciwym zakładzie — zapewniał gospodarz.

— Więc, gdzież u diabła, podziały się moje rzeczy? A może pan przypuszcza, że jestem oszustem. Proszę, przeszukajcie moją walizę!

— Niechże się szanowny pan nie denerwuje — błagał gospodarz.

— Budzi mi pan wszystkich gości. Pańskie ubranie napewno się znajdzie.

— Znajdzie się, znajdzie! Gdzież się znajdzie. Już przetrząsnęłem wszystkie rzeczy na dole. Tutaj napewno jest złodziej w hotelu! Proszę natychmiast wezwać policję! Mam mało czasu.

— Ależ, mój panie, odkąd ja jestem gospodarzem nigdy nic podobnego nie miało miejsca.

— No dobrze. Gdzie jest telefon! Sam zadzwonię do komisariatu.

— Błagam pana o trochę cierpliwości. Niszczy pan dobre imię mego zakładu. Pańskie ubranie musi się odnaleźć!

— Więc może mam tutaj do wieczora latać w kalesonach? O wpół do dziesiątej odchodzi mój pociąg. Czynię pana za wszystko odpowiedzialnym!

— Proszę o chwilę cierpliwości — błagał gospodarz, ocierając pot z czoła — zaraz pomysłę jak zaradzić złemu.

Troskliwy właściciel szybko się zdecydował, że raczej woli ponieść straty, niż doprowadzić do skandalu.

Już po upływie dziesięciu minut zapukał do pokoju nr. 12 czeladnik z sąsiedniego zakładu krawieckiego, wziął gościowi, miarę, a po upływie następnego kwadr. leżały przed nieznanym trzy nowe ubrania do wyboru. Również ze składu obuwia przysłano rozmaite fasony.

W pół godziny pan z nr. 12 był kompletnie wykipowany. Coprawda jeszcze się bardzo gniewał, twierdząc, że zrobił kiepską zamianę, bowiem jego garnitur pasował daleko lepiej, a i trzewiki miał w o wiele lepszym gatunku. Ale ponieważ gospodarz nie przestawał go błagać i prosić, aby nie robił skandalu, a w końcu nawet zrezygnował z należności za hotel, to przybysz wreszcie dał się ubłagać i szybko odszedł na dworzec.

Gospodarz odetchnął. Afera kosztowała go wprawdzie sporo gotówki, ale uniknął, dzięki Bogu, skandalu.

Uspokojony zasiadł do śniadania, gdy nagle nastąpiło coś nieoczekiwanego.

Zjawił się rybak, którego łódź przymocowana była do tylnej ściany hotelu. Wszedł i położył na stole dość dużą paczkę, którą, jak oświadczył, wyrzucił ktoś przez okno z hotelu do wody.

Gospodarz, niespokojnie zdumiony, rozwinął paczkę. Zawierała ona znoszone, połatane ubranie męskie i parę niemilosiernie dziurawych łapciów.

Była to garderoba gościa z pod nr. 12.

Paul Bliess.